

KORESPONDENT

ROLNICZY, HANDLOWY i PRZEMYSŁOWY.

Wychodzi jako pismo dodatkowe bezpłatne przy „Gazecie Warszawskiej.”

LIST ZE WSI.

Z zajęciem odczytałam artykuł p. t. „Vivos voco”, zamieszczony w № 173 *Gazety Warszawskiej*, nawołujący do komunikowania redakcyi faktów z prowincyi. Pojmuję to dobrze, iż po za teatrem amatorskim, jub jakim skandalem są fakta, które zasługują na ujawnienie. Proszę więc przyjąć i wydrukować pierwszą moją pracę, może niedosyć obrobioną, niemniej jednak będącą owocem dłuższej obserwacyi na okolicę, w której zamieszkuje.

Piszę z nad ujęć Proсны do Warty, t. j. z pow. Słupeckiego, gub. Kaliskiej.

Przebiegając szpalty *Gazety Warszawskiej* szukam chciwie wiadomości z naszych stron, ale daremnie; nigdy i nigdzie wzmianki o nich niema, świat o nas zapomniiał, echo nasze zamilkło jak milknie głos wołającego na puszczy. Dla różnych przyczyn nie możemy utrzymywać szerszych z ludźmi stosunków; z jednej strony granica odcina nas od ruchliwych Prus, z drugiej oddalenie od kolei utrudnia styczność z Warszawą. Cudzoziemcy nie odwiedzają nas wcale; rozmiłowani w dymie fabryk, w świecie lokomotywy nieciekawki zaglądać do naszego cichego kąta. Krajowcy bynajmniej się też nie interesują tym szmatem ziemi, tym zaściankiem rolniczym, zamkniętym w półkole borami Kazimierza.

Chociaż tysiące rodzin i osób opuszcza Warszawę, rozbiegając się we wszystkich kierunkach na letnie mieszkanie, do nas nikt nie zajrzy, nawet przypadkiem nie zabłądzi tu noga turysty. Na złagodzenie tej obojętności jedno tylko przytoczyć możemy, że niekażdy ma odwagę tłuc się mil 20 duszną, ciężką, trzęsącą kuryerką, aby dotrzeć na wieś, gdzie jak zwykle nudno, cicho, pusto. Tak więc odsunięci, odgradzeni od świata, czujemy się w obowiązku wskrzesić pamięć o sobie i oznajmić szerszym kołom, że tu także tętni życie pracy i myśli.

Okolice, przy ujściu Proсны do Warty, należą bezwątpienia do najpiękniejszych i najżyźniejszych w gub. Kaliskiej, ale niestety i do najsmutniejszych. Na tle malowniczego położenia możnaby wieść życie rozkosznej sielanki. Fantastyczne pagórki, wilgotne wąwozy, szmery strumyków, kwieciste łągi, niebieska wstęga rzeki, szum prastarych lasów nastraja duszę na poetyczną nutę, każe śpiewać, radować się i wielbić Stwórcę za tę cząstkę rajy na ziemi. Natura ujęła siedziby wiejskie w przesłiczne ramy, ale pobyt w nich wcale niewesoły. Ze zdziwieniem i żalem spostrzegamy, że zamiast śmiechów i pieśni, słyhać tylko skargi i wzdychania; że zamiast widzieć pogodne, wesołe oblicza, spotyka się przygnębienie. Coraz częściej pytamy się sami siebie, czemu tu nie znać dobrobytu, który przy świetnych urodzajach kwitnąć powinien? Czemu, pomimo cudnych widoków, cudnego kwiecia i zieleni, ludzie nie czują się tu ani szczęśliwi, ani zadowoleni? Na te wszystkie czemu, dla czego odpowiedzieć można zdaniem jednym: bo jest wielka świecąca bieda w każdym stanie, a głównie, że jest upadek obywatelstwa. Rolnictwo kwitnie u nas wspaniale, znane to, stare jak świat, że ziemia karmi mieszkańców, odziewa i ogrzewa. Gospodarzom naszym przyznać należy rozumną i wytrwałą pracę na rodzinnej glebie. Cóż z tego jednak, że jest ziarno złote, piękne ziarno, ale pieniędzy niema. Przy wielkiej i przezornej oszczędności interesa widać się coraz bardziej.

W małym stosunkowo obrębie pięć dużych ładnych majątków w ręku żydów; w świetnym pałacu, gdzie niegdyś błyszczały stroje i brylanty wielkiej urodziwej pani, czerni się dziś jarmułka izraelskiego patriarchy. Na miejscu kryształowych świeczników zapłonęła szabasówka i dziwna rzecz, tęczowe blaski świeczników zacieśniły przyszłość swym panom, a poczciwa łojowa szabasówka dalekie rozjaśniła widnokręgi, po których kroczy z tryumfem i dumnie nowy „dziedzic”. Szanowny dzisiejszy sąsiad nieznacznie i cicho

wjechał na wielkopańską fortunę. Objężdżając dwory i dworki, wsie i wioski, zaglądał często do pałacu, do swej przyszłej siedziby. Przypatrywał się z uwielbieniem pani, podziwiał toalety od Wortha, zachęcał dogodną pożyczką do wycieczki za granicę, czekał cierpliwie na zaległe procenta, o kapitał nigdy się nie upominał. Zawsze cichy, pokorny, uniżony, zawsze hojną ręką udzielał pieniędzy. Poczciwy, nieoceniony, jedyny. Toż dobroczyńca, bez niego nie byłoby czem leczyć rozstrojonych nerwów, zaco nowej sprawić liberyi. Tymczasem ów opiekun, ów wspaniałomyślny pomocnik wsuwał się na salony nieśmiało, ale coraz pewniej, coraz silniej, wiedząc, że się tam wkrótce rodzeństwo jego rozpierać będzie. Więc chociaż chwiejnie stapały nogi po śliskich posadzkach, chociaż z okien małego miasteczka widział w perspektywie piękne klucze z przyległościami, nie pogardził tym nowym nabytkiem, wyciągnął rękę po złote jabłko.

Młode pokolenie w niczem się do złego nie przyczyniło: boryka się z losem starając się z długów oczyścić majątek. Dźwiga ono na barkach młodości ciężkie brzemie, tem cięższe, bo nie z własnej wypływające winy. Serdecznie też żałować trzeba, że te szczytne dążenia rozbijają się o przeszkody, że trudy te szlachetne mogą być bezowocne. Walka daremnie nie złamie młodzieńczego zapału, ale zniszczy siły i możność działania.

Stosunki tutejsze wyjątkowo są przykre; zupełny zastój handlu, ceny zboża tak niskie, że prawie produkcya się nie opłaca, brak nabywców i ogromna konkurencya sprzedaży zabijają handel. Kto ma nóż na gardle, pozbywa się krestencyi na pniu za cokolwiek i tem psuje ceny innym. Produkt z takim mazołem wypracowany marnuje się; kto nie chce za lichą zapłatę żydom odstępować, musi go spaść inwentarzem. Dziwnie nam tu wszystko interesa krzyżuje. Cło uniemożliwia wywóz za granicę, a komunikacya do środka kraju jest trudną; zbytu niema ani na targu, ani na jarmarku; każdy ma swego do syta, nie pyta o cudze, a tymczasem zboże tęchnie na składach, nie mogąc się doczekać odstawy.

Na domiar złego, zabiegi naszych kupców pochłania trzebieenie lasów, które im otwierają ogromne pole zysku. Cała ich uwaga, w tamtą zwrócona stronę, pomija wszystko inne. Dawniej parowce ciągnęły do Prus berlinki naładowane ziarnem, teraz żegluga naszej rzeki ogranicza się na tratwach, które nieskończonym sznurem splewiają drzewo. Pojawienie się berlinki jest dziś rzadkością, a przecież Warta, ta nasza jedyna droga handlowa, wywoziła zboże z trzech powiatów.

Gospodarstwo w takich czasach i warunkach to trudne zadanie; utrzymanie się na wsi, jest wielką zręcznością, a oczyszczenie majątku z długów, to sztuka godna podziwu, ale dziś już niepraktykowana.

Ostatnią naszą deską ratunku jest trzebieenie lasów i kolonizacya ziemi wśród okolicznych włościan. Smutnie się przyszłość zapowiada, za lat kilka pójdzie chyba wszystko w ruinę. Nie starczy folwarków na kolonizacyę, lasów na wycięcie i zamkanie się ostatni punkt wyjścia. Gdy niegdyś brakło gotówki, to ją pożyczano; dziś kredyt przestał istnieć. Znikła tradycyjna postać arendarza, faktora, gojącego cudownie nadwyreżoną sakiewkę. Teraz nie dają, ale odbierają gwałtem. Kapitalista, niepewny swego, żąda zwrotu swej sumy energicznie, prawnie, nie pytając, skąd ją biedny dłużnik zaczerpnie. Trudno się dziwić, że każdy pragnie wycofać swój grosz, ciężko nieraz zdobyty. Coraz częstsze mamy przykłady, że przy wystawianiu majątków na sprzedaż spadają długi i nieraz wielka krzywda dzieje się biednym wdowom i sierotom, pozbawionym ostatniego utrzymania. Hypoteka niepewna, rewers niepewny, wszyscy wolą ubezpieczać kapitały w banku. Tak więc kredytu niema, zboże spalone lub za bezcen zmarnowane, a rolnik skąd weźmie na podatki, na towarzystwo, gradobicie, nie mówiąc już o procentach?

Ileż się to nasz obywatel wyjeździ po miasteczkach, ile na-

chodzi po kantorach, zanim grosz jaki zdobędzie. Wszędzie to samo kręcenie głowy, mrużenie oczu, te same głębokie namysły i obietnice najprędzej wizyty. Przecież teraz upraszać trzeba, zanim wyświadczą łaskę i kupić raczą. Pamiętam niegdyś, kiedy to para żyta i pszenicy wynosiła 15 rubli, wtedy kręciła się masa kupców i kupeczyków naprzykrzali się, stawali się wprost natrętami, a teraz pan kupiec jest najrzadszy, najmniej spodziewany gość, należący do osobliwości.

Charakterystyczną mamy tu postać jednego kapitalisty, miasteczkowego Rotszylda, którego dziadek w niedalekiej przeszłości skórkami handlował. Na szlachcie wzrosła fortuna i duma; urosł typ najwstrętniejszego krętacza i pyszałka, utuczonego kosztem publicznego dobra. Widok jego działa na nerwy, a wizyta odbiera humor i apetyt na cały tydzień. Przyjeżdża z wielkim szumem i hałasem. Szlachcic zrywa się z poobiedniej drzemki, sądzi, że ktoś z sąsiedztwa, biegnie na powitanie, gdy nagle potrąca w progu o rudą brodę i cofa się, otwierając szeroko oczy ze zdumienia. Pierwsze niemile wrażenie topnieje w słodkiej nadziei jakiegoś interesu. Gospodarz się kłania, prosi siadać, każe dawać podwieczorek, z wyjątkiem podług form gościnności. Tymczasem pan kupiec rozpiera się w krzesle (jeżeli nie uda mu się na kanapę wtłoczyć), wyciąga nogi pod stół, wkłada ręce w kieszenie, kręci brodę, stara się być bardzo towarzyski, bawi państwo świeżymi nowinkami, mówi wiele o wszystkim, ale nie o kupnie; pyta się o dzieci, o znajomych, jak się sery wyrabiają i czasem od niechcenia potrąci o interes. Gdy gospodarz pochwyli ten wątek rozmowy i zaczyna dowodzić o piękności ziarna, o marnej cenie, godny potomek swych protoplastów spuszcza głowę na piersi, ziewa, słucha z taką apatyą, jakby ów przedmiot był mu najobojętniejszy w świecie, wreszcie, jakby znierpliwiiony, przerywa i odbiega od rzeczy. Marudzi godzinę, dwie, nie wiadomo poco i naco, aż dopiero na wyjeździe oznajmia zamiar i cel wizyty, że przybył po dwa sęgi drzewa, o rubla taniej biorąc, tak po dobrej znajomości. Z łoskotem i chrzęstem wychodzi, rozsiada się pompacyjnie na swych angielskich resorach, z czułym uśmiechem na ustach, a stalowym błyskiem w oczach. Owa potęga materyalna, ów zwiastun materyjalnej pomocy znika za bramą, odprowadzany tumanem kurzu i złorzeczeniem szlachcica.

Milej są witani drobniejsi kupcy, bo do niechęci kupna nie łączą przynajmniej szyderstwa i lekceważenia. Fundusze nie pozwalają im na spekulacje lasami, handel zbożem się nieopłaca, a zatem siedzą beczynni, gryzą się, martwią i majątków nie robią. Listy zastawne leżą sobie spokojnie w kasie, bo ze stratą nikt ich przecież naruszać nie będzie.

Przykre to, chociaż i pocieszne, gdy przyjdzie szaraczkowy gość, gdy łamanym językiem wywodzi swoje żale i, w poufnej rozmowie z dziećmi, skarży się, narzeka i wspomina czasy, kiedy to miał się dobrze i pan i asan. Zwykle u nas starzy szukają pociechy we wspomnieniach przeszłości, a młodzi patrzą w przyszłość i daremnie wyglądają przesilenia. Kłopoty i utrapienia pochyliły ku ziemi przedwcześnie osiwiałe głowy. Zniknął starszylacki humor, wyczerpał się nasz nieoceniony dowcip, stracono ochotę do towarzyskiego życia, cała okolica zdaje się drzemać, każdy siedzi w domu, nie mogąc pokazać ludziom śmiejącej twarzy. Wprawdzie nie krępijemy się wcale z udawaniem dobrego humoru, narzekania stały się prawie modą, niezbędną w rozmowie, ale pocóż wychylać się z domu, wiedząc, że nas nie rozwesela, że nie natchną swobodniejszą myślą. Przed miedzą i za miedzą usłyszymy tylko skargi i żale. Zasklepimy się coraz więcej, jak ślimaki w skorupie. Wieczorki i sute prozono obiady przeszły już do tradycji, a pamięć balów i kuligów wyszumiała nawet z tradycji. O zabawach i kuligach gwarzą tylko babcie i sędziwe ciocie; twarze ich płoną dziwną radością na samą myśl tych przyjemności, a my słuchamy ich opowiadań jak baśni ze zdumieniem i niedowierzaniem. Trudno nam dzieciom „fin de siècle'u“ zrozumieć, jak mogli przodkowie nasi bawić się i to tak, bez pamięci. Przy obecnym postępie wyobrażeń odważamy się nawet powątpiewać, czy ci ludzie, wówczas tak rozbawieni, rozhlukani, wiedzieli czego chcą i do czego dążą. Gdyby lepiej pojmowali swoje obowiązki i odpowiedzialność za zmarnowanie sił, dzisiejsze pokolenie miałooby być zapewniony nie podnosiłoby głowy w poczuciu swej wyższości nad starym stęchłym nierozsądkiem. Czasy nauczyły nas surowo patrzeć na życie, surowo sądzić nasze czyny, uważać naukę i pracę za całą wartość człowieka.

Tytuły, herbowe korony stały się pustym dźwiękiem. Uśmiech politowania wzbudza każdy, co na szali zasług swych kładzie głównie znaczenie rodowe. Dziś ten potężny, kto bogaty; ten silny, kto mądry. Dziś jedynie zalety osobiste serca i duszy wzbudzają szacunek. Spartanizm wniknął w nasz charakter, w naszą krew. Zabawa w tych ciężkich czasach wywołuje oburzenie. Zapomnieliśmy dawno tańczyć, a może zapomniemy wkrótce śmiać się. Nie

tańczymy, nie bawimy się, ale za to myślimy więcej, kształcimy się i nie cofamy.

Młodzież dąży za światłem we wszystkich kierunkach, nie oglądając się na majątek, tak niepewny w bieżącej chwili, wzbija się własnymi siłami na godne stanowisko w społeczeństwie. Pod nazwą młodzieży przywykliśmy uważać nie tylko młodych ludzi, ale i panny, które dziś zaciągnęły się pod te same sztandary pracy, swobody i sławy i przejęły ogólnie ludzkie ideały. Hasła, dla młodzieńców niegdyś tworzone, stały się hasłem panien. Obudził się w nich duch społeczny, obudziło się poczucie sił swych i praw obywatelskich. Zaginął typ lalki salonowej, wyczekującej rycerza z bajki w zadumie i rozmarzeniu, jak gdyby królowna zaczarowana. Szczęśliwie otworzyły się teraz oczy jasnego sądu, przejrzały i oszczędziły same kobiety, jak upokarzająca, śmieszna jest rola panny na wydaniu. W czasie, kiedy ręce ludzkie tak drogie, panny biorą się skrętnie do zajęcia, aby dorzucić cegiełkę do olbrzymiej maszyny pracowniczej. Jedne zarządzają domem, inne trudnią się nabiałem, pszczołami lub ogrodem, inne ziów prowadzą rachunki gospodarcze, spełniając jaknajgorliwiej urząd buchaltera majątku. Ciche usposobienia pozostają w gronie rodzinnym, mrówczą pracą pomnażając bożą chwałę; ognistsze natury rwą się w dalekie strony.

Między kobietą z przed trzydziestu laty a kobietą naszej doby jest jednak kolosalna różnica! Ciocie nasze nie wybiegały myślą po za cztery ściany swego pokoiku. Ładne sukienki, igła, fortepian, romanse francuskie i marzenia o Jasiu zamykały w sobie cały świat, stanowiły całą treść dziewiczej epoki, póki nie nastąpiły obowiązki matki i żony. A jakież one czuły się szczęśliwe przy krosienkach, piosenkach, otoczone zaklęciem kołem dumań i rojeń! Jakież to doprawdy odmienne pojęcia szczęścia w porównaniu naszych wymagań. Dziś za ciasno, za duszno w domu, wyjście za mąż straciło urok, stało się karierą bardzo względną. My mamy szersze dążenia, nam potrzeba wrażeń, ruchu, gwaru, a przedewszystkiem czynu. Czas opuścić wąską ścieżkę przeznaczenia, którą nam tradycja wytknęła. Prawa humanitarne upoważniają szukać zawodu odpowiedniego upodobaniom i zdolnościom.

Niezależność, praca społeczna, sława — oto dzisiejsze hasła.

Dla nich opuszczają gniazdo rodzinne, zdają się na łaskę losów, rzucają się w wir stolicy. Duch tytanów podnieca te młode, gorąco czujące serca, któreby pragnęły marmury kruszy i światy podźwignąć. Może zbyt ufne w swą moc, a niepomne skrzydeł Ikaru, wlatują ku słońcu. Niechże spieszą w szlaki promienne nadziei, sławy i szczęścia; przyklasnąć tylko należy i powtarzać razem z poetą: „Młodości, ty nad poziomy wylatuj i okiem słońca ludzkości całe ogromy przenikaj z końca do końca.“

Nęci nas młodych zagadka przyszłości, pcha zapal i żądza, wszyscy krocymy szybkim krokiem naprzód, abyśmy kiedyś, spoczywając na laurach chwalebego życia, powtórzyć mogli słowa Wallenroda: „Ja to sprawiłem, jakim wielki, dumny, tyle głów hydry jednym ściągając zamachem, jak Samson jednym wstrząśnięciem kolumny zburzyć gmach cały i runąć pod gmachem.“

Te dwa wyjątki z dzieł nieśmiertelnego wieszczca stają się coraz więcej popularnymi, bo wyrażają najlepiej stan naszych uczuć. Oda do młodości jest wstępem życia, słowa Waltera zakończeniem. Prolog mamy już dziś piękny, świetlany, ale jaki będzie epilog — to kwestya przyszłości!!!

Tak więc i emancypacja kobiet dotarła do nas, dowód to jasny, że nam przewroty społeczne nie są obojętne. Chociaż w zakątku i w zapomnieniu śledzimy bacznie ruch postępowy, zdążamy śmiało za prądem ogólnym.

Urosliśmy duchem ogromnie; te kilka lat gorzkiego doświadczenia posunęły nas naprzód o cały wiek, wytworzyły zalety zupełnie nowe i przeciwne naszym rodowym charakterom. Nabyliśmy zamiłowania, pracy oszczędności, przezorności, a głównie nauczyliśmy się szanować pieniądź, jako podstawę bytu.

Pozbycie się przesądów, kastowych uprzedzeń jest już olbrzymim krokiem na drodze postępu. Znikło życie nad stan, rujnujące dawniej największe fortuny. Ograniczono się we wszystkim, zmniejszono liczbę służby, odprawiono lokajów, gospodynie, ogrodników, własną pracą ich pomoc zastępować. Do spraw gastro-nomicznych nie przywiązują już tak wielkiej wagi, znajdując więcej rozrywki w książkach i dziennikach. Grono rezydentów uszczupliło się do jednej tylko cioci dobrodziejki, wyjazdy do wód ustały, bo niema za co wyruszyć z domu. Sąsiedztwo skrzętnych i wyrachowanych Niemców najwięcej wpłynęło na dojrzałość naszego umysłu. Wiele im złego, ale i wiele dobrego zawdzięczać musimy.

Jedynym okruczem starych śmieszności jest próżność, tej się jakoś najtrudniej pozbyć. Chęć błyszczenia przetrwała wszystkie burze i kłeski, widać że jest silniejszą od naszej woli; zdawałoby się, że już minęła, ale gdzie tam. Gościnność tradycyjna otwiera szeroko wrota na przyjęcie gości, ale i na niepotrzebne wydatki. Utrzymało się, niestety, mniemanie, że jak wystąpić, to wspaniale, a jak

nie można, to lepiej się od świata usunąć. Zastarzałe, spleśniałe pojęcia. Wartoby je wyrugować, bo tylko panny i wakacyjna młodzież skazani są przez to najnieśluszniej na nudy i samotność.

Dnie powszednie spycha się jako tako zajęciem, spacerem, książką, ale w niedzielę powinny się przerwać tę bezbarwną, nieznośną monotoność. Najwięcej idealnym osobom nie wystarczy chyba odgłos fujarki, szum wiatrów i zrywanie kwiatów. Towarzystwo, obok pouczającej książki, jest niezbędnym pokarmem duszy. Wymiana myśli, rozmaitość wrażeń jest tem dla umysłów, czem rosa i słońce dla odświeżenia roślin.

Rozwodząc się nad własną, osobistą niedolą, odbiegłam od właściwego przedmiotu, którego celem ma być odmalowanie stanu, rozwoju naszej okolicy. Ze skruszonym sercem powracam do spraw ogólnych.

Kwestyą dziś najwięcej żywotną jest wychodźstwo robotników za granicę. Pomimo niezłej płacy, wszystko, co młode, zdrowe i silne wymyka się do Prus na robotę. Całe gromady wędrują do Saksonii, docierając nieraz do Hamburga i Szwarzwaldu. Gorączka tej czasowej emigracji szerzy się jak zaraza. Nie zraża naszego wieśniaka ciężka praca przy fabrykach, nasypach kolejowych i uprawie buraków, a nęci zysk srebrnej i złotej monety. Tu kosiarz bierze w żniwa 30 kopiejek, pobieracz 18 kop.; tam zarabia mężczyzna do dwóch marek, dziewczyna przeszło markę i to z życiem i przez cały pobyt, gdy tymczasem u nas do św. Jana chłop zarabia 15 kopiejek, kobieta 10 kop. Różnica wynagrodzenia jest i to wielka, nie można więc dziwić się, że biegą tam, gdzie większy zysk. Ledwie śniegi stopnieją, wychodzą z domu i wracają z pierwszymi mrozami, przynosząc każdy kilkadziesiąt talarów. W lecie wieś u nas pusta; znaczniejsza połowa mieszkańców jest gdzieś na obczyźnie, na zimę dopiero się zaludnia. Córki, synowie, bracia i siostry ściągają pod strzechę ojców, znosząc zarobek z trzech kwartałów. We wsi zbierze się przeszło tysiąc talarów; ożywienie wielkie, radość ogólna, ten się cieszy odzyskaniem krewniaka, tamten podarkami, inni odebraniem długu i nadzieją odpoczynku, a wszyscy radują się poczuciem własnej niezależności. Powracający z Prus, toć przecież bohaterzy chwili — panki harde z pełną kieszenią a pustem sercem. Dzieńdzicom się nie kłaniają, bo są niezawisli od nich w niczem, nie potrzebują ich łaski. Rozbijają się szalenie, wszędzie ich pełno, snują się po traktach, rej wodzą na jarmarkach, cisną w kościele, a głównie przepełniają szynki. Grosz tak zapracowany w lecie przemarnują w zimie, jedząc, pijąc i wiecznie próżnując. Dlatego też dobrobyt nie wzrasta, zamożność widać tylko w ubraniu zasobnem i porządnem. Całe to wychodźstwo jest klęską, najgorsze, najsmutniejsze skutki pociągającą. Razem z talarami pruskimi, przynoszą pruskie ubranie, kaleczenie języka i zepsucie. Lud się strasznie demoralizuje. Trudno dziś znaleźć dziewczynę z nie naruszonym honorem i religijnego chłopaka. Wpływ gorliwych kapłanów rozwiewa się na obczyźnie, gdzie żyją gromadnie bez kościoła i spowiedzi, wyuzdani, rozpasani. Dla ciemnych tłumów religia to jedyny hamulec od złego; gdy stracą poszanowanie świętych rzeczy, gdy pozwolą sobie żartować z księży, nie ich od grzechu nie odwróci. Smutne to doprawdy, smutne, jakie nowatorstwa wkradły się do prostoty i surowości obyczajów. Te Prusy, to zguba, to zaraza naszego ludu!

Tracą przywiązanie rodzinne, przejmują się ślepym podziwem dla zagranicy; bogactwo tamtejsze, cywilizacja olśniewa ich, własna ziemia wydaje im się nędzną, dziką. Tam tylko pojmują szczęśliwy los, tu widzą upośledzenie i niedolę. Nie uczą się pilności i staranności od obcych, ale lekceważenia rodziców, panów, a co najsmutniejsza, dobrych obyczajów. Niedowarzone pyszałki o spaczonych pejęciach powracają do nas i, niestety, wywierają wielki wpływ na całą ludność, zaprowadzając mody w ubraniu, obejściu i mowie.

Do naleciałości z Prus należy nowy obcy strój. Na miejsce granatowej sukmany, pasterskiego kapelusza, przywdziali surduty, krawaty, kołnierzyki, halsztuki; zegarek i parasol uzupełnia ubiór tych wieśniaków, których odróżnić trudno od panicza lub mieszczanina. Dziewczyny przybrały się też w tak zwane „juki“, „westki“, gorsety i kolczyki, przekształcając się na jakieś niemiecko-żydowskie jejmoście. Z wychodźstwa ludzi niema zatem żadnej korzyści, same szkody. Z braku robotnika cierpi wiele gospodarstwo. Dzieci i niedołągi stanowią naszą siłę roboczą, a oprócz ludzi dworskich, nie mamy rąk do pracy. Najemnika trudno dostać i uprosić, garstka nieliczna kręci się w polu, a tu zboże przejrzałe, siano niezwiezione. Ogromny kłopot ze sprzętem, jest miła nadzieja, że pół ziarna wyleci i połowę kartofli wymarznie.

Przy takich okolicznościach interesa nie pójdą w górę, ale pochyłą się na samo dno przepaści.

Upadek rolnika pociąga upadek innych warstw stanów. Wiadome to u nas, że niedostatek dworu przechodzi do chaty, do kan-

torów i warsztatów. Z kogóż żyje wieśniak, rzemieślnik, kupiec? — ze dworu.

Chłop uprawia rolę, rzemieślnik wyrabia narzędzia, kupiec sprzedaje, a obywatel płaci. Gdy wyczerpie suchotniczą sakiewkę do reszty, wtedy skąd pieniądz popłynie?

Gdzie się też nie obrócić, tam narzekania. Narzeka szlachta na ciężkie czasy, urzędnik na szczupłe dochody, stolarz, rymarz, tokarz na brak zajęcia i t. p. Biedni też u nas ci wszyscy fachowcy, bez zajęcia, bez zarobku. Potrzeby te same, co dawniej, ale bez wielu rzeczy obejść się trzeba. Wiele dałoby się przytoczyć przykładów. Np. dach dziurawy, ciecze na głowę; trudno, niech tam ciecze, niech zarywa i rujnuje sufit; nie sporządzi się, bo nie ma za co. A dekarz na zawołanie; czeka tylko, aż go kto raczy zawezwać. To znów obora się wali, pułap się załamie, zabije kilka sztuk; a niech zabije, podpira się tymczasem słupami; budynek długo stać musi, bo przecież darmo nikt nowego nie wystawi. Tak to się wszystko rwie u nas coraz bardziej; końca z końcem związać nie można, łąta się, sztukuje do czasu, potem pryśnie sztuczna budowa i siwy, sterany gospodarz pójdzie na bruk, wypraszać sobie w mieście jakiegos znośnego schronienia.

Yotes.

Przepowiednie Falba.

W ostatnim numerze *Wszechświata* znajdujemy pouczające uwagi o tak popularnych obecnie przepowiedniach Falba.

Pod tytułem *Rudolf Falb neue Wetter-Prognosen und Kalendes des kritischen Tage für 1896, Juli bis Dezember* wyszła w Berlinie przed dwoma miesiącami książeczka, ozdobiona zarazem portretem autora, zawierająca przepowiednie na nadchodzące półrocze i uwagi o półroczu pierwszym. Podobne przepowiednie na pierwsze półrocze r. 1896 wyszły dawniej. Publikacje te zresztą nie są nowe; blisko od dziesięciu lat Falb powtarza je w takiej lub innej formie.

Jeżeli teraz o nich wspominamy, to dlatego, że z jednej strony Falb w coraz śmielszy sposób stawia swoje prognozy, a z drugiej, że pisma nasze codzienne zaczynają od czasu do czasu umieszczać te niby naukowe przepowiednie i opatrywać uwagami o sprawdzeniu się ich. Jako przykład sprawdzania lub niesprawdzania się weźmy np. lipiec ubiegły. Na ten miesiąc w książeczce, której tytuł przytoczyliśmy wyżej, znajdujemy takie przepowiednie:

„Od 1-go do 6-go lipca: Po kilku suchych dniach opady atmosferyczne wzrastają i stają się dość znacznymi. Połączone są one po największej części z burzami elektrycznymi; temperatura jednak pozostaje normalną.

„Od 7-go do 10-go lipca. Opady i burze cokolwiek zmniejszają się; temperatura zaczyna się zniżać.

„Od 11-go 14-go lipca. Deszcze nagle wzrastają i są połączone po największej części z burzami; temperatura prawie ciągle pozostaje poniżej normalnej.

„Od 15-go do 20-go lipca. Deszcze cokolwiek zmniejszają się, ale zawsze są jeszcze znaczne i to występują jako deszcze obfite, stałe i padające na wielkich przestrzeniach; temperatura zniża się jeszcze bardziej; jest bardzo chłodno; burze są rzadkie.“

I tak dalej. Poprzestajemy na tem, co już można dzisiaj porównać z faktami. Podług przepowiedni Falba, temperatura stale ma opadać; w pierwszym tylko peryodzie ma być mniej więcej normalną, a zresztą niższą od niej, nawet w czasie od 15-go do 20-go zupełnie niską. Liczba burz ma ciągle wzrastać do 15, opady ciągle mają być coraz większe i do 15-go przeważnie pochodzących mają z burz.

Tymczasem: od początku do 20-go lipca nie było żadnej burzy w Warszawie, temperatura w ciągu dni 2—6 włącznie ciągle była znacznie niższą od normalnej, średnia z tych dni wypadła 16,4° C. Najwyższa temperatura średnia dzienna wynosiła 17,5° C. dnia 4, najniższa zaś 12,9° C. dnia 5-go i to jest tak niska na lipiec, że w ciągu lat 11-u ostatnich zaledwie trzy razy notowano temperatury niższe. W ostatnim okresie od 15-go do 20-go temperatura znacznie podniosła się po nad normalną, bo średnio była 21,7° C.; opad zaś wynosił 3 mm. i to prawie całkowicie z pojedynczego deszczu dnia 18-go. Przez 20 dni lipca r. b. spadło więc tylko niecałe 20 mm. wody. Jeżeli zwrócimy uwagę na to, że średnia ilość wody spadającej w lipcu wynosi w Warszawie 77 mm.; widzimy, jak daleko jesteśmy dotąd poniżej rzeczywistości; do tej chwili wody w lipcu było znacznie mniej, niż bywa normalnie, chociaż pogodnym tegoczesnego lipca nazwać nie można.

Ten przykład pokazuje nam dostatecznie, że dla przepowiedni Falba nie może być mowy o sprawdzeniu się ich lub niesprawdzeniu, nie można nawet powiedzieć, ażeby to, co się działo, było wprost odwrotne temu, co zapowiada prognoza; jest gorzej, bo w

rzeczywistości było wszystko, tylko prawie naodwrot. Przepowiednie Falba są wytworem nieokielzanej niezem, a najmniej nauką fantazy; stan pogody jest wynikiem ukształtowania się pewnych elementów meteorologicznych i dwie te rzeczy nigdy z sobą nie mają nic wspólnego, odrębnymi chodząc torami. Czasami jest tak, jak on przepowiada, czasami zupełnie i wyraźnie co innego, a czasami nie wiadomo, czy jest tak samo czy inaczej, bo trudno wyrozumieć o co mu właściwie chodziło. Czy jednak przepowiednie zgadzają się z rzeczywistością czy też nie, Falb nigdy nie ustępuje; zawsze z pewnością wytłómaczy, że jego prognoza w zupełności się sprawdziła. Ma on na to sposób przedziwny i stawia przepowiednie w ten sposób, że zawsze znajduje się pewna furtka do wyjścia. Mianowicie: Falb nigdy nie stawia prognozy dla jednego oznaczonego miejsca lub pewnej oznaczonej okolicy, ale dla całej ziemi. Tym sposobem jeżeli nawet ze wszystkich miejsc, w których obserwacje się robią, przyjdą wiadomości pokazujące, że zjawiska przepowiadane przez Falba nie było, albo, że się odbyło inaczej, to zawsze pozostaje odpowiedź, że zjawisko to właśnie wystąpiło, jak było zapowiedziane w tych miejscach, z których wiadomości nie nadeszły. Tak np. dla lipca r. b.: można zawsze wyszukać na ziemi takie miejsce, że dla niego daje się dopasować przepowiednia na pierwszy peryod; dla drugiego peryodu również można będzie znaleźć odpowiednie miejsce i t. d. Pierwsze miejsce może być w Himalajach, drugie w Apeninach, trzecie w Andach, wszystko to jedno, dla Falba będzie to zawsze sprawdzeniem jego przepowiedni.

Że tak jest w rzeczy samej, mamy dowód na to i uderzający przykład w przepowiedni Falba na dzień 29 marca r. b.

Prognozy Falba, wskutek łatwości ludzkiej, nie zawsze w tak niewinny sposób się kończą, że idą inną drogą aniżeli fakta. Czasami sprowadzają one szkody materialne, rzeczywiste tym, którzy zanadto ich posłuchają. Falb na 29 marca r. b. przepowiedział jakieś rzadkie katastrofy; miał to być dzień osobliwy, obfity w niezwykłe przypadki; podług niego, wiele lat trzeba będzie oczekiwać na równie mocno krytyczny dzień, jak 29 marca. Jakie to miały być katastrofy, naturalnie nie wiadomo; Falb nigdy nie jest tak zupełnie wyraźnym, Otóż przytrafiło się, że w Chili, w Ameryce południowej, zaczęły się od 13-go marca r. b. powtarzać dosyć silne wstrząśnienia ziemi. To rzuciło, mianowicie na mieszkańców Valparaiso, niesłychany postrach; sądzili, że to jest właśnie w związku z przepowiednią Falba, skoro tak wcześnie zaczyna się od trzęsień ziemi, coż to dopiero będzie, gdy nadejdzie sam dzień krytyczny 29 marca. Wskutek tego tysiące mieszkańców porzuciło miasto i uciekło w góry, pozostawiając dom i całe swoje mienie na los szczęścia, byle tylko ratować życie. Gdy jednak przeszła spokojnie noc i następnego dnia 29 marca, powracali do domów, ale wielu się rozchorowało z biedy i przestachu, a wszyscy ponieśli większe lub mniejsze straty materialne. Oburzenie stąd było wielkie. Wychodząca w Valparaiso gazeta niemiecka pisze pod dniem 31-m marca: „Liczbę uciekających przed trzęsieniem ziemi oceniają na 5 do 10 tysięcy. Już 26-go marca pociągi były przepełnione, a w sam dzień krytyczny natłok w dalekich od miast miejscowościach był tak wielki, że jabłko nie padłoby na ziemię“.

Na szczęście nie się nie stało i noc krytyczna przeszła spokojnie dla Valparaiso i okolicy. Co się tyczy teorii Falba, to wiadać z tego przebiegu rzeczy, że jej powaga nie wzrosła. Jeżeli z innych stron świata podobne wiadomości nadejdą, wtedy ten astronom (?) będzie musiał całego swego dowcipu i całej swojej wymowy użyć, aby swoją prognozę, którą poważał się świat porużyć, od zupełnego rozbicia się uratować“ (*Globus*, 1 zeszyt 1895 r., 19).

Zapewne, niejedni z czytelników myśli, że odpowiedź na to wszystko ze strony Falba nie jest łatwa, żaden dowcip i wymowa nie tu już nie poradzą. Otóż taki czytelnik najzupełniej się myli; w książeczce, której tytuł podaliśmy na początku niniejszej wzmianki, Falb na 30-u blisko stronicach dowodzi, że właśnie dzień 29-ty marca jest świetnym potwierdzeniem jego teorii, w tym dniu i następnym wszystkie zjawiska tak przebiegały, jak on przepowiedział. Nie będziemy już więcej zajmować uwagi czytelnika temi sprawami; jeżeli yle tutaj o tem piszemy to tylko dlatego, że przy powtarzających się w naszych piśmie wiadomościach o przepowiedniach Falba, niejedni mogą być w błąd wprowadzeni o ich znaczeniu naukowym.

ROZMAITOŚCI.

— **Duńskie jaja.** Duńczycy są narodem wytrwałym i przemysłowym, rozwój mleczarstwa u nich prześcigł wszelkie inne kraje i na targu londyńskim także zapanowali dostawą wyborowego nabiału. Obecnie wytwarzają konkurencyjny dowóz jaj, które oni

umiejętnie na targi posyłają. Żaden dowóz jaj, które w ogromnych ilościach dostają się na targi angielskie, nie jest tak umiejętnie prowadzony jak duński. W Danii istnieje towarzystwo, trudniące się zakupem i wywozem tego towaru. Agenci tego towarzystwa skupują jaja wprost od właścicieli kur, a ci właściciele obowiązani są na każdym jaju położyć napis z oznaczeniem dnia, w którym kura je zniosła. Przytem jaja już na miejscu są wybierane, stosownie do wielkości. Towarzystwo, trudniące się wysyłką, sortuje jaja na cztery gatunki co do wielkości i wagi. Importerzy do Anglii biorą na siebie całkowitą odpowiedzialność za świeżość jaj, z których żadne nie jest starszem niż 8 dni. Pomniejsi dostawcy zobowiązani są kontraktami płacić dość znaczną karę za dostawione zepsute jaje. Warunki ściśle przeprowadzone mają skutek, że jaja duńskie są bardzo pożądaną na targach angielskich i ceny za jaja są wyższe. W Hamburgu, na wzór duńskiego, utworzyło się towarzystwo celem wywozu jaj, ale nie mogło korzystnie konkurować z duńskiem, albowiem rolnicy, jako dostawcy tego towaru z pierwszej ręki, nie chcieli się zastosować do wymaganych warunków dostawy jaj świeżych i sortowanych.

— **Największe lasy na ziemi.** Największy las w północnej Ameryce sięga przez prowincje Quebec i Ontario na północ aż do Hudsonu i do półwyspu Labrador, obejmuje 2,750 kilom. długości i 1,600 kilom. szerokości. W południowej Ameryce znajdują się także wielkie lasy. W dolinie Amazońskiej zajmują przestrzeń 3,300 klm. długości i 3,000 klm. szerokości. Badacze Afryki opowiadają o ogromnych lasach, które sięgają od doliny Kongo aż do źródeł Nilu i Zambezi. Długości tychże nie można było dotychczas oszacować, ale szerokość, mierzona od północy na południe, wynosi 4,800 klm. Południowa Syberja posiada ogromny pas lasu od rzeki Ob od zachodu aż do doliny Indygirki na wschód i mieści w sobie rzeki: Olenek, Lena i Tama. Las ten zajmuje przestrzeń 13 milionów klm. kwadr. Te ogromne przestrzenie są pokryte po większej części drzewami szpilkowemi. Tysiące kwadratowych kilometrów nie zostały dotychczas zbadane. Drzewa dochodzą do 50 metrów wysokości i stoją tak gęsto, że trudno się przez nie przecisnąć.

— **Zaraza przez odchody.** Odchody bydła chorych na suchoty szerzą tę chorobę dalej. Profesorowie, Cadier w Lyonie i Bournay w Tuluzie, głoszą następujące spostrzeżenia: Młodemu stadnikowi zadawali w przeciągu 4-ch dni w paszy płuca krowy suchotniczej, przepełnione bakcyliami suchotniczymi. Przez 5 dni brano z pod tego stadnika rano i wieczorem 200 gr. fekaliiów, rozczyniano je w 100 centymetrach sześciennych wody, filtrowano i zadawano tę wodę królikom; Z 16-tu królików, wziętych do tej próby, padły wszystkie na suchoty. A gdy odchody tego stadnika zbadano pod mikroskopem, pokazały się w nich w każdej próbce bakcyle suchotnicze, jakie prof. Koch w Berlinie zbadał przed kilku laty.

— **Żaba nieprzyjacielem ryb i pszczół.** Żaba stawowa jest niebezpiecznym rabusiem rybiej ikry a także i drobnego narybku. Całkowicie rozwinięta czteroletnia żaba stawowa zdoła spożyć dziennie, jak to badania wykazały, 2—3,000 sztuk narybku, lub też odpowiednią tymże ilością ikry rybiej. Tak samo podstępna w wynajdywaniu, cierpliwa, w wyczekiwaniu i żarłoczna jest powinowata jej żaba lądowa. Zwłaszcza w czasie kwitnienia koniczyny przesiaduje ona cały czas w chłodno wilgotnych łąkach i chwytą z dziwną zręcznością pszczoły, które całemi masami nawiedzają kwitnące koniczyny. W tym czasie sprawia sobie istne biesiady z pszczół, a łapie je tak zręcznie, że nigdy nie wymknie się jej łup, na który czyhała.

— **Urodzaj kartofli.** Przestrzeń, zajęta pod uprawę kartofli powiększyła się od r. 1883 prawie we wszystkich krajach, jak to widać z następującego zestawienia liczb w 1,000 hektol.:
w 1883 r. 1883 r.

| | | |
|-------------------------|-------|-------|
| w Niemczech | 3,037 | 2,907 |
| „ Austro-Węgrzech | 1,566 | 1,379 |
| „ Włoszech | 194 | 68 |
| „ Francji | 1,572 | 1,343 |
| „ Anglii | 511 | 550 |
| „ Rosyi | 3,090 | 2,208 |
| „ Stanach Zjednoczonych | 1,054 | 879 |

— **Mierzwienie łąk.** W szkole rolniczej w Wageningu robiono próby z mierzwieniem łąk, na których od wieków siano bez mierzwienia sprzątano. Na hektar sypano 500 kilogramów kainitu, 500 kgm. żużli Thomasa i 600 kgm. wapna i to z początkiem listopada, ponawiając mierzwienie kainitem i mąką Thomasa w jesieni następnego roku. Koszta tego mierzwienia wyniosły na hektar 101,70 mr. Na łąkach, które dotychczas około 4,480 kilogramów siana wydały, powiększyła się wydajność do 12,820 kilogramów. Na czysto przyniosły takie łąki, po potrąceniu kosztów, 123,30 mr. na hektar.